ROZMAITOŚCI.

Dnia 1. Lipca Ner 26. Roku 1843.

JAN JERZY WEIHERT.

POWIASTKA HISTORYCZNA 1656—1658.

PRZEZ

AD. AM. KOSIŃSKIEGO.)*

I.

Straszna byłato wojna, którą przez cały ciąg panowania Jana Kazimierza niebo dręczyło polską koronę!—Od Baltyku po Dniester, od Dniepru do Odry, wszędzie zniszczenia barbarzyńskie, okrutne. Po jarach na których kiedyś rzéźwe stada bydląt hasały, trawa nie tknięta kosą wyrastała swobodnie, lub dziki źwiérz krążył nadaremnie żéru szukając; role, które kiedyś tysiące pługów rżnęło w zagony, dziś odłogiem puszczone, chwast bez przeszkody pokrywał. W miejscu ludnych i zamożnych sioł, stérty gruzów często dymiących jeszcze. Bogate dworce, obronne zamki, zrabowane, zniszczone, w stosy ruder padały. Gdzie niegdzie tylko jakie ocalało miasteczko; ale dreszcz brał, ulice jego zbiegając. Skromne domy mieszczan, gmachy panów, wspaniałe boże świątynie, wszystkie w zaniedbaniu, w opustoszeniu: tu bez okién, tam bez drzwi, jednym braknęło dachu, inne po świéżym pożarze, stérczały niby smętne widma dawnego blasku, niby szpetne szkielety dawnego ogromu i chwały; a śród ruin po ulicach, na których bardzo często śród bruku rdest wywijał kolczystemi strzępami, błąkała garstka ludu znękanego, schorobliwego, wygłodzonego.

Gdy zaś dom jaki mniéj zniszczony pozostał, to w nim gwar i hałas ustawny; bo pewno za kwatérę nieprzyjacielowi służył: tym zaś nieprzyjacielem był mieszkaniec odległych stron północy, bitny ale okrutny Szwed. Puszył on śród zwalisk dzieła swojego, urągał nieszczęśliwym mieszkańcom, odzierał świątynie, rabował co mógł i gdzie mógł: ni łzy, ni wiek, płeć lub stan, były świętémi dla niego. Zniszczenie zdało się być jego żywiołem, krew—życia potrzebą. Rozléwał ją bez miłosierdzia i bezkarnie; bo jakież prawo mogło wiązać najezdnika zwycięzcę?! — Czytając dzieje ówczesne, zabiegając w wspomnienia, łzą nachodzi oko, serce kraje się na myśl—ilu uciskom i nędzy uległa wówczas nieszczęśliwa Lechija; a przecież czy one nie były tylko wstępem do innych, do okropniejszych?...

Lecz gdy miasta legły w ruinach, gdy bogate sioła w gruzy upadły, nie znający stanu kraju a zbiegający przypadkowo odwiecznych lasów rozłogi w miejscach najniedostępniejszych, w kniejach, które przeznaczenie dzikiemu tylko źwiérzowi za schronienie naznaczyć się zdało, napotykał z zadziwieniem ślady bytności ludzi, świéże ogniska, obozowisko nawet, w którém cała ludność okolicy, każdy wiek, płeć i stan szukały przytułku. Ale jeżeli wędrowiec cokolwiek litości posiadał, jeżeli sam nie ubiegał przed okrutnym wrogiem — omijał czémprędzéj te miejsca, stronił od nieszczęśliwych, pomiędzy którémi głód, nędza, a częstokroć morowa zaraza rozpościérały swoje władanie.

W owymto nieszczęsnym czasie pożogi i mordów, przy końcu maja 1656 roku, drogą od Częstochowy ku grodowemu miastu Brzeźnicy wiodącą, na rosłym meklemburskim rumaku, pospieszał waleczny rotmistrz niemieckich rejtarów na żołdzie szwedzkim

*) Wyimek z *Biblijoteki warszawskiéj*, pisma peryjodycznego, poświęconego naukom, sztukom i przemysłowi.

służących, Jan Jerzy Weihert. Byłto trzydziesto-letni młodzieniec, lica jego lubo nieco wojennym ogorzałe znojem, dorodne i hoże; w błękitném germańskiem oku łacno mógłeś czytać łagodność charakteru, serce nie zamknione litości i szlachetną duszę. Smutno niém teraz w około porzucał; bo téż kraj który przebiegał, więcéj niż inne strony Polski uległ zniszczeniu. Bezustannie od szwedzkich podjazdów trapiony, szczególniéj téż od armii jenerała Möllera, który haniebną swą porażkę przy Częstochowie, mścił łupieżą dóbr księżych, królewszczyzn i szlachty przeciwnéj partyi. Krajobraz zmienił się przecie, gdy podróżny przejechał granice włości prusieckich. Należały one do Michała Abdańczyka Warszyckiego łęczyckiego miecznika, jednego z téj wielko-polskiéj szlachty, która jeszcze na początku wojny Radziejowskiego banity, namowami skłoniona, opuściwszy nieszczęśliwego monarchę, poprzysięgła wierność najeźdzcom, i frymarką sumienia ochroniła śród powszechnéj klęski swoje majątki. Z radością młody rycerz poglądał do koła. Wszędzie staranność, dostatek i przemysł, obszérne pola bujném zbożem pokrytémi były, na łąkach tu i ówdzie rozrzucone stogi siana, świadczyły o bacznéin gospodarstwie i uwadze na przyszłość, droga utrzymywana starannie, z jednéj i drugiéj strony odwiecznémi lipami ocienioną była.

Dziwiło przecież młodziana, że jak tylko okiem zdołał zasięgnąć, nie dopatrzył nigdzie ni śladu człowieka. Cała okolica zdała się być głuchą i pustą: niby ją morowa dotknęła zaraza, niby ją mieszkańce w jakiejś trwodze, w jakimś panicznym opuścili popłochu. Kiedy niekiedy tylko rozległ się w oddalu ponury ryk bydlęcia, lub smętne psa wycie. Kiedy niekiedy tylko, przerwał monotonną ciszę trzepot skrzydeł gołębi, szukających żéru po nad krajem drogi, a zstrachanych rżeniem lub stukiem kopyt rumaka. Zdziwienie jednak podróżnego nie zmieniło się w obawę. Od cztérech dopiéro tygodni zmuszony obowiązkami służby, opuścił tę okolicę, i wiedział, że przez ten czas wojną nie była dotknięta, a od ucisku Szwedów broniła ją znana wierność miecznika dla sprawy ich króla. Nadto, czyż mógł oddawać się smutnym podejrzeniom i myślom, wracając na ziemię do wioski, która mu była miłą jakby rodzinna? W niéj on bowiem długi czas przeżył, w niéj znalazł przyjaciół, opiekunów, w niéj mu się miłość rozśmiała. Ciężko raniony na początku tego roku przy oblężeniu Częstochowy, do Prusiecka był zasłany. Przyjęto go chętnie i mile, z tą gościnnością cechującą lud polski, co najzaciętszemu nawet wrogowi odmówioną nie jest. Przez kilka miesięcy nie szczędzono opieki i starań istotnie rodzicielskich. Stary miecznik polubił go jak syna, córka jego piękna, ośmnastoletnia dziewica — jak brata. I on téż ich kochał; lecz jeźli starcowi dałby chętnie ojca nazwisko, to jego myśl i chęci dorodnéj Jadwidze świętsze niż siostry rade były dać miano. Przejeżdzając zatém kraj i obie drogi, witał okiem i duszą każdą stronę, każdą ścieżkę, strumyk, łączkę. Wszystkie on znał, wszystkie kochał; bo mu lubą przypominały Jadwigę, szczęśliwe chwile z nią razem spędzone, jéj dobroć i piękność. Ach! ujrzyć ją czémprędzéj, powitać, poić ucho dźwiękiem głosu, serce urokiem spojrzeń, było najdroższą i najżywszą chęcią młodziana.

Niedługo przecież w sercu jego miała radość i nadzieja gościć. Koń silnie party ostrogą, dobiegł nareszcie szczytu wzgórza, co dotąd pięknéj wioski widok zasłaniał. Z ciekawą bacznością spojrzał rycérz przed siebie; lecz przestrach wywił w oku, krew ścięła się w żyłach, drżenie całém ciałem obiegło. Raz jeszcze spojrzał, przetarł dłonią źrenice, jakby niedowierzając temu co widział; lecz nie, nie byłoto złudzenie, nie była okrutna igraszka wyobraźni. Cała wieś, kościół i dworzec miecznika, leżały w ruderze, w opustoszeniu.

Z rozpaczą, nieokreślonym bolem, chwil kilka przyglądał się młodzian okropnemu widokowi. — »Boże mój! co to znaczy«, wykrzyknął. »Jakiż jéj los? los jéj szlachetnego ojca?!« — Wspiął kolcem ostrogi rumaka, że krew dychające jego boki skropiła, i po kilku minutach stanął w sioła ruinie.

Tak! byłato tylko ruina! Po obu stronach bowiem szérokiego gościńca — stérty gruzów. Wpół zwalone kominy, wskazywały jedynie miejsce chat wieśniaczych niedawno

jeszcze przynęcających zamożnością i porządkiem; okrążające je sady wycięte, pasieki rozrzucone, płoty powyrywane, wszędzie zniszczenie straszne, barbarzyńskie. Z modrzewiowego kilku wieków świadka kościoła, jedna tylko murowana ocalała wieża; lecz ściany jéj spękane, potrzaskane, zadymione, przejęte ogniem, waliły się w odłamy. Droga była zasłaną rumowiem budowli, nawałem popiołu i węgla.

W oku młodzieńca wiła łza, w piersi było duszno, boleśnie, kiedy zawróciwszy konia, przez mały kamienny mostek, co jeden śród powszechnego zniszczenia ocalał, zajechał na obszérny dziedziniec, dobrze sobie znajomego dworca. Niestety! w jakże go różnym przed kilku tygodniami pozostawił stanie?... Obszérna budowla wtedy należała do najpiękniejszych w okolicy, mieszkanie zamożnego obywatela, upiękniona była ciągłém i gorliwém staraniem; dzisiaj zaległa w popiele i gruzach, barbarzyńska ręka żadnéj jéj części nie ochroniła, gdzie niegdzie tylko niedopalona wyglądała belka, gdzie niegdzie stérczała ściana muru, a na niéj ślad jeszcze dawnego malunku, złocenia: a że to była rudera świeża, przekonywał o tém lekki dym, co za silnym wiatru poświstem dobywał się jeszcze z pośród rumowisk. Lecz kogo zapytać o los nieszczęśliwych mieszkańców domu, lub o nazwę okrutnego spustoszyciela? Wszędzie głucho i pusto... Stado jaskółek tylko smętnie świérgocąc, krajało wartkiémi skrzydłami powietrze, może szukając swych piskląt lub gniazd od wieków spokojnie lepionych w załomkach okien, lub pod gościnnym dachem budowli; tylko jak kiedyś tak i teraz lotny skowrónek wiosenną nucąc piosenkę, wzbijał się w obłoki. Młodzian z konia poskoczył, przywiązał go do poblizkiéj lipy, jakiś czas z boleścią przyglądał się jeszcze ruderze, gdy nagle o parę staj w oddaleniu, za obszérnym, teraz opustoszonym ogrodem, dojrzał czerwony ceglany dach znanego sobie budynku — kiedyś oficyny dworca: ku niemu poniósł swe kroki.

Na ławkach okrążających skromną budowlę, na jéj progu i w ganku, kilkunastu spoczywało żołniérzy. Byli oni znajomi młodzieńcowi, bo należeli do jego roty zostawionéj dla obrony miecznika. Jedni opatrywali broń i zbroje, inni zabijając czas długi w chwilowym odetchu pokoju grali w kości lub przypatrywali się grającym; kilku będących na służbie, przechadzało się przed przyległą stajnią, niosąc koniom trawę lub siano na południową paszę. Wszyscy skoro ujrzeli dowódcę, opuścili natychmiast swe miejsca. Niedoczyszczona broń, niepoliczone punkta kości, nie zatrzymały ich na chwilę. Okrążyli wspołem: przybywa rotmistrz! »pan rotmistrz powraca!« wykrzykując w niemieckim języku. Byłato chwila nie udanéj radości, prostych lecz tkliwych serca wynurzeń; byłyby one zapewne miłemi w innym razie młodemu dowódcy, lecz teraz gdy serce krwawiło, ból dusił w piersi, zimno odepchnął garnących się na okół, nie odpowiedział na ich powitanie, lecz wskazując ku ruderze, groźnie, ponuro wykrzyknął: »Dla Boga! odpowiedzcie co to znaczy? kto tam poniósł zniszczenie?...

Żołniérze gwałtownem pytaniem strwożeni, odsunęli się milcząc. Wtedy wystąpił ich sierzant, krępy, ogorzały, z szramą na czole, ale pogodném okiem i obliczem żołdak, i odparł:

»Źle panie rotmistrzu! to nasi...«

»Nasi!« jęknął młodzieniec... źrenica jego groźnym gniewem prysnęła, dłoń ciężko upadła na rękojeść szabli, gdy mówił:

»Wy to więc?... moi podkomendni!... wy, których zostawiłem na obronę tego miejsca... biada wam!... znacie mnie... Nie mam litości, gdy zbrodnia woła o pomstę... dziś natychmiast, winni, zuchwalstwo śmiercią przypłacą! Sierzant! którzy są?... broń cię Boże choćby jednego zataić!«

Żołnierz lekko wzdrygnął, widząc gniew zwykle łagodnego dowódcy i przysuwając rękę z uszanowaniem do kasku, odparł pośpiesznie:

»Ależto nie my, nie nasza rota panie rotmistrzu!... to Szwedzi... major Grotenhauzen.—«

Na wspomnienie człowieka, który nawet w barbarzyńskiéj Skandynawców armii za okrutnika uchodził, rotmistrz przeczuł los drogich sobie istot. Zapytał o szczegóły nieszczęsnego zdarzenia — dał mu je sierzant.

»W tydzień po odjeździe pana rotmistrza«, mówił, »nadciągnął z swoją rotą major. Rozłożywszy żołniérzy we wiosce, sam się wkwatérował do dworu. Z początku przecież wszystko dobrym szło trybem, miecznik nie szczędził miodu i wina, lecz na nieszczęście córka jego panna Jadwiga, przypadła do gustu Szwedowi. Chciał się z nią żenić, ale jakże dziéwczę hoże i dobre mogło pokochać dumnego i okrutnego majora?... Ani słuchać nie chciało zalecanek jego. Z tego zemsta, uciemiężenie chłopów, grabież dobytku i zboża. Myśmy byli za słabi, aby stawić jaki opór: zresztą starszemu nie sposób. Lecz ujął się za gnębionych poddanych sam miecznik, przyszło do sporów a nawet szabel dobycia. Szlachcic choć stary, lecz dziarski, tęgo karabelą robi, pogłasnął nią nie żartem majora po uchu; ztąd większe rozjątrzenie jeszcze i chęć zemsty. Nadarzyła się do tego sposobność: przejęto listy miecznika do krewnych przesłane... Podobno w nich nazbyt się rozpisał i nie taił chęci przejścia na stronę dawnego króla, co jak chodzą wieści Szlązko opuścił, i nie żartem chce odzyskać utraconą koronę. Luboć ludzie mówili, że te pisma tylko podrobione były, złożono zatém sąd w Piotrkowie: wyrok jego był łacny do odgadnienia. Ogłoszono szlachcica za zdrajcę i uwięzić kazano; lecz on nie czekał końca sprawy. Zebrawszy swoich poddanych uciekł w bory, a major, jak to widział pan rotmistrz, nietylko dworzec ale i wieś do gruntu kazał zrabować i spalić.«

W ciągu opowiadania żołniérza, nieraz czoło młodzieńca głębokie zrysowały bruzdy, nieraz pod stalowym kaftanem serce zakołatało gwałtownie. Przeczuwał niewinność miecznika, drżał o los miłéj jego córki, i chęć ukarania okrutnego Szweda silnie w piersi kipiała. Zapytał o niego sierzanta.

»Od trzech dni, to jest od czasu zniszczenia dworca«, odpowiedział mu tenże, »ciągle on w ruchu, śledzi po lasach i okolicy ubiegłych Polaków; dzisiaj zarządził obławę w lasach nad Wartą... odkryto tam ślad nieszczęśliwych... biada gdy w jego ręce popadną!«

Młodzieniec wtedy nie wahał się ni chwili: »Bracia!« krzyknął do zebranych żołniérzy, »jeżeli szczęście waszego wodza, jeżeli jego honor jest wam miłym, pospieszajcie za mną: nie pozwólcie okrutnemu niewinnéj krwi rozlewu!... Miecznikowi jak wiécie, życie moje winienem... hańbą więc byłoby opuścić go w niedoli. W imię Boże! na koń! Siłą nie zrównamy Szwedom, lecz przenieść potrafimy męztwem.«

W kilka już minut szczupła rota rajtarów, a na jéj czele rotmistrz, pędziła ku lasowi, którego mglisty, okiem nie przejrzany obszar rozciągał się széroko po nad brzegiem Warty.

II.

Do tego czasu, do najznakomitszych lasów ziemi Piotrowskiéj należą Prusieckie; łącząc się z innémi przyległemi, zajmują przestrzeń mil kilku. W latach, których moja powieść zasięga, były one jeszcze znaczniejsze; ale też częściéj niż dziś poprzerzynane bagnami, wydmami i obszérnemi stawami. Droga więc przez nie była utrudzająca i mylna; lecz rotę szlachetnego młodzieńca wiodły świéże ślady Szwedów i ich krzyki rozlégające się od czasu do czasu po kniei. Barbarzyńcy naśladowali polskie wyrazy, a szczególniéj chrzestne imiona, aby wywabić nieostrożnych z kryjówek, lub przymusić na wzywania niby pobratymcze do odpowiedzi. Po godzinnéj podróży, droga dla koni niepodobną stała się: trzeba je więc było zostawić, a postępować pieszo. Las coraz był więcéj gęsty i błotny: to trzeba się było przedziérać krzami łozu, leszczyny i karłowatego iglastego drzewa, to znowu brodzić w kałużach i błotnistych topielach. Siły żołniérzy wyczérpały się do szczętu, tchu nie stawało w piersiach, pot grubą i ciężką odzież przesiąkał: sam tylko rotmistrz nie czuł znużenia, jemu nadzieja i miłość dodawały mocy... Piérwszy darł się przez gąszcze kniei, piérwszy rzucał w topiele. Szwedzkie okrzyki brzmiały już ledwie w ćwierć milowém oddaleniu, gdy znajomy nam sierzant wyrzekł dowódcy:

»Nie sposób iść daléj... żołniérze całkiem upadli na siłach, las coraz więcéj gęsty i błotny, koniecznie odpocząć wypada; zresztą, czemuż mamy za Szwedami gonić?... znużeni, czyż pokonamy dwukrotnie liczniejszych? Mojém zdaniem, lepiéj byłoby pozostać na miejscu i zwabić ich do siebie. Nic łatwiejszego niéma; róbmy jak oni, udajmy polskie wykrzyki. Major będzie sądził, że z obozowiska polskiego pochodzą, nie zaniedba tu pospieszyć, a wtedy przyjmiemy go jak pan rotmistrz rozkaże.«

Rada chociaż nie odpowiadała niecierpliwości młodziana, do wzgardzenia nie była. Wydał stósowne rozkazy. Żołniérze z bronią nabitą, z gotowémi szablicami do walki rozsiadłszy na małym nagim wzgórzu, gęstą otoczonym knieją, zaczęli odpowiadać na wykrzyki Szwedów. Podstęp całkowicie udał się: odgłosy wrogów wijąc na lewo i prawo, zbliżały się widocznie. Już tylko na kilkanaście staj odległémi były, gdy nagła, okropna wrzawa rozległa się po lesie... Kilka jednoczesnych wystrzałów łoskotliwe echo daleko rozniosło. Wyraźne okrzyki — »otóż są! nie oszczędzaj!... morduj!... zabijaj!...« doszły

ucha rotmistrza. Zimny pot wystąpił na jego czoło, trwoga zadrżała w oku!... — Rzucił się w gąszcz kniei, za nim wierni towarzysze. Nie zważano na bagna, topiele, zwalone kłody drzew, tysiączne inne zawady... Przeraźliwy hałas, jęki, wzywanie Polaków o miłosierdzie lub pomoc, barbarzyńskie odkazki, szydercze śmiechy Szwedów i szczęk szabel, rozniesione, zmieszane, zwiększone w okropności, były im drogi wskazówką. Kwadrans przecież upłynął, zanim mogli stanąć na miejscu zkąd pochodziły; a jakiż okropny widok był przed ich oczyma?...

Kilkudziesięciu rozhukanego żołdactwa, a na ich czele major Grotenhauzen, napadłszy tabor zbiegów, puścili natychmiast wodze okrutnéj rozpuście, barbarzyńskiéj zemście... Pióro wzdryga się chcąc określać katusze, cierpienia, jakim nieszczęśliwi ulegli. Ni wiek, ni płec, nie były od nich zasłoną. Wyrywano niemowlęta od piersi matek i mordowano bez miłosierdzia, w oczach męży urągano żonom, i dziewicom. Kilka z nich krew oblewała potokiem, broniącym się barbarzyńska ręka ciężkie rany poniosła. Grubémi postronkami krępowano starców i młodzież; a biada! kto zuchwalcom śmiał jaki opór stawić. Biada ojcu lub mężowi śpieszącemu w obronie córki lub żony!... Śmierć była ich udziałem, jęk, płacz i prośby rozlégały się w koło; lecz czyż okrutny Szwed znał litość?... Czy zemście i okrucieństwu umiał łożyć hamulec?...

O kilkadziesiąt kroków daléj, inny był widok... Major zostawiwszy chłopstwo rozhukanéj woli żołnierstwa, poił swe oko, karmił zemstę cierpieniem miecznika. Z rozkazu zuchwalca, przywiązano poważnego starca do ogromnego poblizkiego dębu. Dwóch żołnierzy z nabitą bronią stanęło o podal, niecierpliwie czekając na znak dowódcy, aby ponieść strzały morderczc... Już ten znak miał być danym, gdy do nóg Szweda rzuciła się piękna Jadwiga.

Lica jéj śnieżna powlekła bladość, rozpacz i przestrach patrzyły z jéj oczu, włos był w nieładzie, łkała ręce łamiąc.

»Zmiłuj się! przebacz mu!—zabij mnie... zamorduj!... ale oszczędź jego.«

Z szyderczym uśmiéchem, z okiem iskrzącém rozkoszą zemsty Szwed odparł:

»Aha! teraz u nóg mych się czołgasz, teraz błagasz łaski, łez potoki lejesz... wspomnij przecie kilka dni wstecz, czy tak samo u nóg twych nie byłem, nie błagałem cię, łez nie toczyłem? a czyś zmiłowała się, dała na nie baczenie?... Godzina pomsty nadeszła!... nie miałaś litości, i ja mieć jéj nie będę; drwiłaś z mych cierpień, i ja z twoich drwić będę; chciałaś méj zguby, na zgon ojca patrzyć musisz!...«

Rozpacz nieszczęsnéj zdało się granic nie miała. Jéj cierpienia opisać nie sposób... nagle silne jakoweś postanowienie, nadzieją zabłysnęło w oku... ale ono było bolesne, utrapliwe, rozpaczą tylko natchnione, chęcią ocalenia życia kochanego ojca. Ujęła dłoń barbarzyńcy, i drżącym głosem mówiła:

»Majorze! słuchaj mnie! jeżeli go ocalisz, okrutnéj śmierci oswobodzisz... ja... dziś, jutro, kiedy zechcesz, twoją żoną będę...«

Szwed wzdrygnął się na te wyrazy, żądnémi oczyma pogonił dziewicę... Kochał on ją tą miłością burzliwą, namiętną, którą niekiedy istoty jemu podobne czuć mogą. Lecz źlem się wyraził: nie byłato miłość. Czyliż ją zbrodniarz, okrutnik, znać kiedy może?... Byłato raczéj chuć szpetna, straszna—jak serce było skalane, jak życie występne zbrodniarza. Ofiara dziewicy była więc nadewszystko miłą dla niego. Nie dawał baczenia, że ni miłość, ni wdzięczność, lecz rozpacz ją wiodła. Już miał dać rozkaz oswobodzenia miecznika, gdy ten wykrzyknął: »Córko Jadwigo! zastanów się, co chcesz uczynić?... Okrutnikowi, barbarzyńcy, mordercy tylu istot niewinnych, tyranowi ojca, wbrew sercu, wbrew przekonaniu, chcesz oddać twą rękę?... Zaklinam cię nie czyń tego, zostaw mnie losowi, jaki Bóg w słusznym gniewie naznaczy. Ciężkie były przewinienia... ciężką kara być musi; lecz tyś niewinna... występek ojca nie powinien spadać na twą głowę. Ja zginę, lecz Bóg litościwy... ty bądź szczęśliwa!«

Oblicze Szweda rozpełło gniewem w piersi kipiącym. Kilka chwil milczał... tak obraza silnie wstrząsnęła jego dumą i duszą; lecz wkrótce i on wziął postanowienie... a jakie było—szydny, groźny uśmiéch, pałające oko, jaśnie wskazywały. Ujął rękę dziewicy, gwałtownie pociągnął przed nieszczęśliwego starca i mówił:

»Twe słowa dumny Polaku! rozstrzygnęły los twój. Przysiągłem ci zemstę, dotrzymam jéj wiernie: chcesz zginąć—zginiesz; lecz...« a tu oblicze okrutnika szatańskiéj radości zabłysło wyrazem. »Patrz! córka twoja w mym ręku... Zgiń więc z przekonaniem, że ona w nich pozostanie na zawsze; bo klnę ci się na me imię, na honor! będzie, musi być moją... ale nie z żony nazwiskiem.«

Starzec jęknął boleśnie. Boleść, srom, na blade wywinęły lica. Silnie wstrząsnął więzami, jakby chciał je rozerwać, ponieść śmierć zuchwalcowi, lub zginąć wspołem z nieszczęsną swą córka... Wyrwała się ona z rąk Grotenhauzena, poskoczyła ku ojcu, słabémi objęła ramionami, jakby u jego boku, u jego łona szukała zbawienia, opieki. Boleść i rozpacz obojga

były tak straszne, tak przerażające, że tylko kamienne serce Szweda mogło być nie wzruszone niemi. Dał znak żołnierzom... wpółzemdloną dziewicę oderwali od łona nieszczęsnego starca, porzucili w objęcia majora. »Już czas!« krzyknął on, »dajcie ognia!« Lecz za nim rozkaz mógł być wypełniony, dwa dobrze skierowane wystrzały powaliły siepaczów na ziemię. W téj chwili bowiem nadbiegł rotmistrz z swym hufcem i poskoczywszy do Szweda, krzyknął mu głosem drżącym od gniewu:

»Nikczemniku! takieżto dajesz baczenie na obowiązki chrześcijanina i człowieka?... nie wstydziszże się urągać niewiastom, nieść śmierć niewinnym? Twoje zbrodnie winnéj oczekują kary... dobądź szabli i broń się!«

Grotenhauzen oręż z pochew wydobył... Ciosy jego były silne lecz niezręczne. Gniew kipiący w piersi, świéża obelga, może zrządzenie niebios omyliły wprawną dłoń... Po kilku chwilach walki potoczył się własną krwią zbroczony pod nogi szlachetnego młodziana; oddział zaś jego po krótkiéj obronie, przerażony zgonem dowódzcy poddał się lub rozbiegł po lesie.

Któżby zdołał opisać radość i wdzięczność ocalonych od hańby i śmierci?!.

*

Gdy przeszedł piérwszy żar uczuć, szlachetny rotmistrz zajął się zapewnieniem dalszego losu nieszczęsnéj rodziny; lecz pytanie jego,—gdzie chcą aby odprowadzonémi zostali, widocznie zasmuciło i przeraziło miecznika. Czoło jego głębokie zrysowały bruzdy, cierpienie i rozpacz malowały się w oku.

»Gdzie?« odparł ponuro. »Albož ja wiém sam?.. Wieś moja zniszczona, dworzec w ruinie... Ach! ciężko lecz słusznie karze mnie Bóg... złamałem przysięgę, oddałem się w opiekę najezdzcom, i otóż jestem tułaczem na rodzinnéj ziemi... dachu, pod którymby schronić się, ogniska, przy korémby odpocząć, niémam nieszczęsny!...«

Głucho jęczał... dziewica ujęła dłoń jego, przycisnęła do ust, łzami skropiła, i rzekła:

»Ojcze! dla czegoż te straszliwe wspomnienia, te bolesne myśli?... Zapomnij przeszłość, wyrwij ją z pamięci.«

»Nie! nie!« odparł starzec ponuro, gwałtownie po wychudłéj piersi uderzając ręką. Nazbyt utkwiła tu ona, aby kiedy zapomnianą być mogła. Ach! dziecko! ty nie czujesz, nie pojmujesz ile ja cierpię... Dnie, tygodnie, dwa lata już tak cierpię. Każda chwila nową zgryzotę niesie, nowe męczarnie... O! Bóg mściwy, srogo karze... czuję to teraz... niestety! zapóźno...«

Cierpienie starca było tak widoczne, tak przerażające, że oko młodzieńca pomimowoli łzami nabiegło. Spostrzegł to miecznik, i ujmując dłoń jego, smętnie, ale razem z dziką rozpaczą tak mówił:

»Posłuchaj mnie młody przyjacielu! Jesteś dobroczyńcą méj córki, jesteś i moim: winniśmy ci życie i honor. Biédny, tułacz, czémże wynagrodzić mogę szlachetny postępek, jeżeli nie radą?... Przyjm ją, bo doświadczeniem własném nabyta, własną troską stwierdzona. Wchodzisz w świat, życie się uśmiécha do ciebie, chwała, rozkosze... chceszże zachować ich złudy, pokój duszy i serca?... Błagam cię! bądź wierny twoim przysięgom, zdradą nie obciążaj sumienia... ach! ty nie wiész, nie pojmujesz ile gorzką ona... Spojrz na mnie... pięćdziesiąt lat bez zakału żyłem, szanowany od sąsiadów, krainy całéj, chlubą odwiecznego rodu, a dziś?... dziś jestem żebrakiem, nędzarzem, ciężarem sobie, sromotą rodakom i krewnym. Pięćdziesiąt-letnią budowę szczęścia, jedna chwila zniszczyła... kiedy podawszy ucho szatańskim poszeptom własnego interesu, stargałem wiarę, jaką własnemu winienem był monarsze, jaką krajowi winienem. Ach! powtarzam ci, Bóg słusznie karze, i nie wiém, czym ci dziękować powinien za życie, któreś zbawił przed chwilą? Ono mi ciężarem, piekłem... Boże mój! lecz gdy mnie karzesz, czemu karzesz i tę biédną! niewinną dziecinę?.. Czyż twoja pomsta i na jéj głowę ma spadać?.. Nieszczęśliwa! pamięci ojca masz kląć na zawsze?«

Godzina ubiegła, zanim nieszczęśliwy starzec ukoił się nieco: wtedy młodzian znający stosunki jego familijne, wyrzekł:

»Czyliż w Działoszynie, dziedzictwie stryjecznego brata, nie możesz znaleźć schronienia? Droga niezbyt daleka, dziś jeszcze być tam możemy...«

»Tak! jest to jeden dom tylko, co swe drzwi tułaczowi może otworzy«—odparł miecznik posępnie — »szukać w nim opieki, było oddawna mojém życzeniem, to jest od czasu jak własny opuścić musiałem. Przeszkadzała pogoń i straż majora... A więc niech się dzieje wola Boża; jestem do podróży gotowy.«

W jednéj chwili rotmistrz stósowne wydał rozkazy. Zebrano wieśniaków, i pospieszano knieją, która dla znających miejsce, nie była już tyle, ile poprzednio utrudzającą. Przecież mimo pośpiechu mały orszak ledwie o słońca zachodzie, kraju lasu się dobrał. Tam dosiadłszy konie do oddziału młodzieńca należące, bezpieczniéj już i pospieszniéj mógł swą drogę odbywać. Pominąwszy miasteczko Brzeźnicę, niedawno jeszcze zamożne i ludne, teraz w gruzach leżące, przebywszy niwy dwóch wsi Gajęcic i Dworszowic, po trzygodzinnéj podróży stanął wreszcie we

wsi Niwiskach, należącej już do Alberta Warszyckiego, sieradzkiego kasztelana. Był on stryjecznym bratem miecznika, równie jak ten sprawie Szwedów uległy: dotychczas mienie swoje i włości ochronił. Rotmistrz wtedy chciał pożegnać starca; zatrzymał go on słowami:

»Nie! tak się rozstać nie możem: chceszże mnie pozbawić rozkoszy przedstawienia znajomym i krewnym, szlachetnego wybawcy?.. Droga do Działoszyna niedaleka... pojedź z nami, odpocznij po trudach dnia dzisiejszego, uchyl się na jakiś czas zemście Mollera.

Drobną łza wilgotne oko dziewicy, czułe jéj spojrzenie, wymowniéj jeszcze od łaskawych słów miecznika, skłoniły młodzieńca do przyjęcia zaprosin.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją **T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 26. i obejmuje:** 1) O zastosowaniu i użytku celniejszych roślin łąkowych i pastewnych. 2) O przeistoczeniu gospodarstwa trzy-polowego na płodozmienne. (Dokończenie). 3) O utrzymaniu koni kartoflami surowémi i gotowanemi. 4) O zaprawie wódek za pomocą olejów lotnych. 5) Wiadomości czasowe: *a*) Sposób przyrządzenia musztardy do francuzkiej podobnej. *b*) Jeszcze jeden sposób ochronienia drzewek i krzewów od zmarznięcia. *c*) Sposob, aby mięso w największych upałach świéżo zachować.

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 14. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Rezydent, obraz. (Dokończenie). 2) O wystawie sztuk pięknych w Paryżu, przez Karola L. 3) Teatr. 4) Koncert Feliksa Lipińskiego. 5) Nowości literackie. 6) Śmierć Józefa Dunina Borkowskiego.

Pisma tutejszego: *Biblijoteka naukowego Zakładu imienia Ossolińskich*, wyszedł tom szósty i zawiéra następujące artykuły: 1) *Poloneutychia* z rękopisu Andrzeja Lubienieckiego. Część trzecia. Rozdział I. V. 2) Krótki rys dziejów i spraw Lisowczyków, przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego. (Ciąg dalszy). 3) Układy między carem Piotrem Wielkim a Mikołajem Sieniawskim, wojewodą bełzkim. 4) O pierwszych zaborach Wariagów na ziemi lachickiej i o grodzie Czerwieńsk, przez Kazimierza hr. Stadnickiego. Rozpr. II. 5) Berda w Uryczu, przez D. J. Wagilewicza. 6) Rozmaitości literackie: *a*) Słów kilka o Kochanowskich Aleks. hr. Krasickiego. *b*) Pomniki Przeworskie (z kamieniorytem) A. K. *c*) Encyklopedyja i Metodologija prawa Jana Kłodzińskiego, J. S. 7) Rękopisma księgozbioru Ossolińskich, przez Aleks. Batowskiego.—Rękopisma dziejów polskich, przez Długosza; (z podobizną, tablicą 2) (Dokończenie).

Z Berlina. Od trzech już lat wychodzi tu pismo peryjodyczne pod tytułem: *Zeitschrift für Münz-Siegel- und Wappenkunde*, poświęcone wyłącznie nauce o mennictwie, pieczęciach i herbach, pod redakcyją Dra. Koene. Pismo to w każdym niemal numerze obejmuje artykuły o mennictwie polskiém. I tak n. p. w dwóch piérwszych poszytach na r. b. znajdujemy w niém ważną, a co rzadsza w niemieckich pismach, bezstronną wiadomość o monetach gdańskich, bitych w czasie, gdy dzielny nasz Stefan Batory miasto Gdańsk oblegał. Wiadomość o dwóch pieczęciach kasztelanów polskich w Gdańsku w początku XIV. wieku, to jest: o pieczęci kasztelana Wojsława w roku 1318 i pieczęci kasztelana Wojciecha r. 1297. W tych samych poszytach czytamy wiadomość o bogatym zbiorze monet i medali polskich pana Reichel, radcy stanu w Petersburgu, jakoteż o recenzyjach dzieł Lelewela: *Antiquites*, przez pana J. de Petigny i *Etudes numismatiques*, przez L. de la Saussaye.

Z Wilna. Wyszły tu następujące dzieła: *Reszty rękopismu Paska, Mieszaniny* Jarosza Bejły tom. 2. — *Ulana, powiastki i obrazki*, przez Kraszewskiego. — *Korespondencyja* Grabowskiego 2 tomy. — Dzieła Kazimiérza Brodzińskiego wyjdą tamże w dziesięciu tomach z wizerunkiem autora. — Wychodzi dalej jak dotąd szacowne *Athaeneum*, pismo zbiorowe historyi, filozofii, literaturze i sztukom pięknym poświęcone. — Profesor Bartosiewicz w Wilnie, wypracował następujące dzieła: Tom I. Wiadomości wstępne: Tu się zawiéra rys wymowy i retoryki, słowami znamienitszych pisarzy polskich w wyjątkach ułożony. — Kaznodzieje z wieku Stanisława Augusta. Autorów stu kilkudziesiąt. — Kaznodzieje w wieku XIX. — Kaznodzieje lepsi z wieku XVII. do połowy XVIII.

Z Warszawy. Wyszedł tu tom II. *Biblijoteki starożytnej pisarzy polskich*, wydanej przez K. W. Wojcickiego, zawiéra: 1) Modlitwa powssednya do Troyce swyetej (facsimil). 2) Droga do Szwecyi Zygmunta III. 3) Przypowieści polskie Salomona Rysińskiego. 4) Ekonomija albo porządek zabaw ziemiańskich. 5) Pamiętniki do panowania Jana III. 6) Przywilej cechu rzeźniczego w Sandomierzu.

Z Krakowa. Towarzystwo Naukowe krakowskie, łącząc pamiątkę założenia Uniwersytetu Jagiellońskiego z epoką upłynionych 200 lat przeniesienia szkół prywatnych z bursy tak zwanéj niemiecką, do teraźniejszego gmachu Nowodworsko-Władysławskiego w dniu 3. b. m. to jest w sobotę, w amfiteatrze wspomnionego gmachu, odbyło posiedzenie publiczne, które Trojański Kajetan, rektor Uniwersytetu i prezes Towarzystwa Naukowego, stosowną do okoliczności zagaił przemową; następnie Florkiewicz Julijusz, sędzia pokoju okręgu Igo W. M. Krakowa, członek Towarzystwa Naukowego krakow. i paryzkiego, czytał rozprawę o początku ekonomii politycznéj o jéj wpływie na zamożność kraju, zakończył toż posiedzenie Muczkowski Józef, Fil. Dr. profesor i biblijotekarz Uniwersytetu Jagiellońskiego odczytaniem wiadomości historycznéj: O szkołach Nowodworsko-Władysławskich w Krakowie. *(K. W.)*

Uczty u dawnych. Łakotnisie u starożytnych narodów jedli podług miary i wagi. Ptaki, które dawano na stół, musiano wprzódy dokładnie odważyć. Dwanaście skowronków, jeźli mniéj niż 12 uncyj ważyły, nie przyjmowano do kuchni, ważące 12 uncyj, brano jeszcze na stół, a dopiéróżto było radości, jeźli waga ich dosięgła 13 uncyj. Ci, co podówczas władali światem, oddając należną nagrodę sławnym żarłokom i opilcom, wynosili ich do pierwszych godności w państwie. W obecności Tyberyjusza pije przez trzy nocce ciągle Pizo, i zostaje pretorem. Flakkus odznaczył się podobnemże kielichowem bohaterstwem, w nagrodę czego poruczono mu zarządztwo Syryi. Za czasów Periklesa i Zeuxisa sztuki nadobne dosięgły wysokiego szczytu, również i sztuka kucharska nie dała

się im wyprzedzić. Kilku kuchmistrzów z Syrakuzy, z Aten, umieli zaskarbić sobie imię dla najpóźniejszych nawet czasów. Ich potrawy, sosy, nie doszły nas w prawdzie podobnie jak obrazy Apellesa, posągi Polykleta i komedyje Mänandra, ale imiona ich pozostały dla potomności. Oto szereg celniejszych kuchmistrzów: Pantaleon, Zophon, Simonaktides, Epenetus, Epirikus i inni. Gdyby przyszło mówić obszernie, jak rzymscy cesarze obiady jadali, możnaby cały tom napisać. Z tego wszystkiego powiémy tylko kilka szczegółów. Geta siedział przy stole przez trzy dni dzień po dzień, i kazał sobie w porządku alfabetycznym podawać wszystkie potrawy, z których każdej pokosztował; Vitellius dał sutą ucztę i zastawił stół samémi rybami, było ich 2,800 gatunków, okręty rządowe otrzymały w tym celu osobne rozkazy, aby przy słupach herkulesowych w czarnem i czerwonem morzu, na wybrzeżach teraźniejszej Islandyi, słowem wszędzie zajęto się rybołostwem dla stołu cesarskiego. Nie należy także przepomnieć Heliogabala, który nie tylko, że wszystko jadał, ale najniepożywniejsze rzeczy na jadło obracał. Gdy goście zajęli swoje miejsca przy stole, było zwyczajem u starożytnych narodów, że *amfitryjon* położył przed każdym spis potraw, z którego goście wybiérali to, co im do smaku przypadło. Wiadomo, że po śmierci mowcy Hortenzyjusza, który był zarazem przeciwnikiem i przyjacielem Cycerona, znaleziono w jego piwnicy 10,000 beczek wybornego wina. Bedius Pollo, uczynił był to postrzeżenie, że szczupaki karmione ciałem ludzkiém, mają smaczniejsze mięso, dla tego rzucano z jego rozkazu w sadzawkę codziennie dwóch lub trzech niewolników. U starych nie obeszło się przy żadnym stole bez muzyki i tańca. Najsławniejsi artyści muzykalni ustawieni w rogu sali jadalnej starali się, śpiewem i muzyką gości rozweselić. Tony liry, mieszały się z brzękiem talerzy i z dźwiękiem puharów, które się co chwila napełniały i wypróżniały. Polotne sylfidy okrążały stoły lekką, zwinną stopą w namiętnych zwrotach, w najskoczniejszych i w najśmielszych postawach. Nie dziw, że podziś dzień pierwszémi tancerkami Hiszpanii są dziéwczęta z Andaluzyi, kiedy przed dwu-tysiącem lat młode Gaditanki tańczyły pierwsze role w rzymskich baletach. O wrażeniu, jakie sprawiały na rzymską publiczność, można się dowiedzić z kilku wierszy Horacego i Juwenala. Przejdźmy teraz do wieków średnich i zapatrujmy się na ten czas z stanowiska garkuchni, do czego nam posłuży kilka rysów z owego wieku. Karol V., jak pisze Le Sage, jadał obiad o jedynastéj, a wieczerzę o siódméj; przy stole cesarskim panowało powszechne milczenie, spowiednik czytał podczas stołu jaki rozdział z biblii lub jaką rozprawę pobożną, jako obrok duchowy. O godzinie dziewiątéj oddawał się cały dwór rozkoszy snu spokojnego. Jérzy Nevil, brat sławnego Warwicka, będąc obrany w r. 1470 arcybiskupem Jorku, sprawił duchowieństwu i szlachcie najświetniejszą ucztę, któréj spis potraw dotąd zachowany w archiwum rządowem londyńskiém. Na tym dniu zabito dla stołu prałata: 80 tłustych wołów, 6 byków, 300 sztuk nierogacizny, 300 cieląt, 3,000 gęsi, 3,000 kapłonów, 200 koni, 100 królików, 4,000 gołębi, 2,000 kur, 200 bażantów, 500 kuropatw, 4,000 cietrzewi, 8 cieląt morskich, 4,000 kaczek, 4 żółwie, 300 szczupaków, zastawiono 1000 półmisków galarety i wiele innych potraw. Ucztą tą zajmowało się 62 kuchmistrzów, 970 kucharzy, 15 kuchcików. Piwa 300 a wina 104 beczek zaledwie wystarczyły na uraczenie gości.

Jeden z przyjaciół Lorda Byrona miał ważne uczynić odkrycie; zapewniają, iż znalazł między rękopismami autora ostatnie ośm pieśni sławnego poematu: *Don Żuan.*

Honoraryjum francuzkie. Karol Gosselin zapłacił Eugenijuszowi Sue, za *Mysteres de Paris* 26 tysięcy franków honoraryjum. Oprócz tego zastrzegł sobie autor, że mu wolno naprzód umieszczać rozdział po rozdziale w *Journal des Debats*, a wiadomo, że ten dziennik najlepiéj płaci.

Lacroix, sławny matematyk, członek francuzkiéj akademii, umarł w Paryżu dnia 25go maja.

Kościoły i domy w Algiérze. Większa część ulic w Algiérze jest już założona na sposób francuzki, a szczególniéj ulica marynarki, idąca od zatoki do środka miasta, również plac rządowy, ulice: Bab-Asun i Bab-el-Qued, noszą na sobie charakter europejski. Tylko płaskie dachy przypominają jeszcze, że miasto to jest gniazdem Arabów, napisy zaś na wywieszkach (szyldach) sklepowych, są ułożone całkiem w guście paryzkich przekupniów. Jedną jeszcze widać maurytańską budowę, przy ulicy marynarki. Jestto pięknémi portykami ozdobiona moszea, najspanialsza z wszystkich 78 świątyń muhamedańskich, które się w Algierze znajdują. Stojącą na placu rządowym obok domu gubernatora, mniejszą moszeę zamieniono na kościół katolicki, który swoim światło-cieniem i rzędem smukłych słupów uroczyste sprawia wrażenie. Nad głównym ołtarzem są dwa napisy arabskie. Po jednéj stronie stoi: *Nie masz innego Boga, oprócz samego Boga*, a po drugiéj: *A Mahomed jego prorokiem.* Niejedna pobożna dusza gorszyłaby się temi słowy, gdyby te hieroglify arabskie odgadnąć umiała.

Pensyja trzysta dolarów za jeden policzek. Revillagigedo dzielny wice-król mexykański, przechadzał się często po ulicach swojéj stolicy w towarzystwie jednego lub dwóch adjutantów. Jednego wieczora zaszedł był aż pod bramy miasta i ujrzał piękną dziewczynę, która sama po-pod mur śpiesznym dążyła krokiem. Skromne jéj ułożenie podobało się wice-królowi, chociaż mocno odbijało od tak późnéj pory. Revillagigedo kazał swoim adjutantom zaczekać, sam zaś udał się za dziéwczyną, a dognawszy ją, przemówił do niéj poufale i ofiarował jéj swoje ramię. Zdziwił się niemało, gdy dziéwczyna stawiąc silny opór natarczywości jego, spieszyła daléj. »Ale po cóż to udawanie moja piękna?« zapytał Revillagegedo. »Przecież ty sama wyszłaś szukać przygody.« To mówiąc, stawał się coraz bardziéj natarczywszym. Dziéwczyna się przelękła, ale nie myśląc długo, dała mu policzek, i uciekała co jéj sił stało. Wice-król stanął jak wryty i nacierał ręką twarz, która się od policzka zarumieniła. Tymczasem nadeszli adjutanci, którzy wszystko z-dala widzieli. — »Co za bezczelność!« zawołali z oburzeniem. »Pozwolisz Wasza Excelencyja, abyśmy za tą niegodziwą.....« — »Niech mi nikt złego słowa o téj dziewczynie nie mówi«, przerwał wice-król. »Jéj znalezienie się zasługuje na pochwałę. Idźcie i dowiedzcie się o stanie téj dziewczyny i co ją zniewalało, że sama o tak późnéj porze z domu wyszła. Ręczę, że to jest poczciwa dziéwczyna.« I w saméj rzeczy tak było. Biedna dziewczyna dawała lekcyje muzyki, aby siebie i swoję chorowitą matkę wyżywić. Jedna z jéj uczennic mieszkała za miastem i od niejto wracała po kilka razy na tydzień o godzinie 10téj w nocy. Wice-król dowiedziawszy się o wszystkiém, wyznaczył jéj roczną pensyję 300 dolarów.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.